

CIEMNOŚCI
KRYJĄ ZIEMIĘ
(1955-1957)

Zaszło słońce, wołają astronomy z wieży,
Ale dlaczego zaszło, nikt nie odpowiada;
Ciemności kryją ziemię i lud we śnie leży,
Lecz dlaczego śpią ludzie, żaden z nich nie bada.
Przebudzą się bez czucia, jak bez czucia spali.

Adam Mickiewicz, *Dziady*, część III

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jedna ze starych hiszpańskich kronik notuje, że w połowie września roku tysiąc czterysta osiemdziesiątego piątego, późnym popołudniem, do miasteczka Vila-real w La Manczy przybył czcigodny ojciec Wielki Inkwizytor w otoczeniu dwustu kilkudziesięciu konnych i pieszych familiantów, czyli domowników Świętej Inkwizycji, zwanych również Milicją Chrystusową. Ulice Vila-real – dodaje skrupulatny kronikarz – były puste, zniknęły z nich stragany żydowskich przekupniów, z oberż i z winiarni nie dochodził gwar, a okna większości mieszkalnych domów przysłaniały żaluzje. Upał, silny za dnia, zelżał już cokolwiek, jednak od Sierra Morena wciąż wiał suchy i gorący, południowy wiatr.

Ledwie poczet ciężkiej jazdy pancernej, poprzedzany przez rotę łuczników, minął Puerta de Toledo i znalazł się wewnątrz miejskich murów – wśród ciszy panującej w mieście zabrzmiał ciężko dzwon kolegiaty San Pedro, a potem odezwały się dzwony klasztoru San Domingo, kościołów Santa Cruz, Santa María la Blanca i San Tomás. Po chwili biły w Vila-real dzwony wszystkich rozlicznych kościołów i klasztorów.

Dwaj zakonni bracia, przechodzący wewnętrznym kruzgankiem klasztoru Dominikanów, zatrzymali się. Jeden z nich był w sile wieku, krępy, po chłopsku ciężki

w ramionach; drugi – całkiem młody, niski i drobny, o ciemnej, jeszcze chłopięcej twarzy.

– Przyjechał – powiedział fray Mateo.

– Mateo, Mateo! – zawołał fray Diego – gdybym mógł modlić się za tego człowieka, prosiłbym Boga, aby usunął go spośród żyjących.

Fray Mateo stał z pochyloną głową, przesuwając różaniec. Z daleka, niestłumiony bliskimi dzwonami, dobiegał wysoki i czysty dźwięk sygnaturki podmiejskiej pustelni sióstr karmelitanek.

– Diego – rzekł cicho – ty tego nie powiedziałaś, a ja tego nie słyszałem.

– Boisz się? Ty? Czyż nie myślisz tak jak ja?

– Nie zawsze należy mówić myślami.

– Wiem.

– Jesteś młody i gwałtowny.

– Wolałbyś, abym był jak kamień?

– Nie. Ale nawet kamienie mają dzisiaj uszy i języki. Uwważaj. Jeśli ojciec Torquemada uznał za właściwe opuścić królewski dwór i przyjechać do Vila-real, zaczną się tu dziać rzeczy straszne.

– O Mateo, straszniejszych od tych, jakie widziałem, już chyba nie ujrzę.

– Nie ludź się – rzekł fray Mateo – straszność nie jest cechą zdarzeń, lecz skutkiem ich kolejności.

Diego gonił własną myśl.

– Boże wielki i miłosierny! Wiarę moją zachowałem nieskażoną, ale serce, Mateo, serce mam zranione i sumienie zmaćcone. Jednego dnia na quemadero w Sewilli widziałem stu ludzi płonących na stosach. Śpiewałem

razem z braćmi hymn: *Exurge, Domine, et iudica causam Tuam*, a przecież poprzez ten ogromny śpiew nie mogłem nie słyszeć jęków i krzyków umierających. Innego dnia...

– Milcz, Diego. Rany serca tylko w ciszy można zagoić.

– Nie ma dla mnie ciszy! Powiedziałeś, że nie zawsze należy mówić myślami. Co to znaczy? Nie ufasz mi? Boisz się mnie? Ty, mój przyjaciel, mój nauczyciel?

Fray Mateo podniósł głowę. Diego stał o krok, poblady, drżący, z oczami płonącymi ciemnym blaskiem.

– Bracie Diego, jeśli sumienie sprzeciwia się uznanym nieprawościom, wówczas nie drugich ludzi, lecz samego siebie musi się człowiek bać najbardziej.

– Siebie?

– Wiesz, dokąd cię może zaprowadzić sprzeciw sumienia? Nie przeraża cię twój bunt?

– Nie! Nie chcę przerażenia ani lęku, ani niczego, co jest strachem. Chcę coś robić.

– Módl się – powiedział fray Mateo.

Tymczasem regiment Milicji Chrystusowej wąskimi i wszędzie jednakowo wyludnionymi uliczkami zbliżał się do kolegiaty. Wielki Inkwizytor królestw Kastylii i Aragonii, padre Tomás Torquemada, okryty czarnym zakonnym płaszczem, jechał na białym kordobańskim koniu, ciasno otoczony domownikami, wyprostowany mimo podeszłego wieku, z oczami półprzymkniętymi.

Jeden z rycerzy towarzyszących Inkwizytorowi, młodzieńki jasnowłosy don Lorenzo de Montesa, pochylał się na koniu ku towarzyszowi.

– Szczury pochowały się do nor.

Don Rodrigo de Castro roześmiał się.

- Nic to szczurom nie pomoże.
- Myślisz?
- Ręce Świętego Trybunału są dłuższe od najgłębszej szczurzej nory. Poza tym szczury się boją i strach je zdradza.
- Czy ten, kto się boi, musi być winien?
- Nie wiem, to nie moja sprawa. Wiem natomiast, że zawsze trzeba być przeciwko tym, którzy się boją.
- Mówią, że król Ferdynand potrzebuje bardzo dużo pieniędzy.
- Wojna zawsze dużo kosztuje.
- Myślisz, że wszyscy marranosi są heretykami?
- Nie wiem. Pewnie wszyscy. Ale to nie jest moja ani twoja sprawa, Lorenzo. Naszą sprawą jest wykonywać rozkazy i nie bać się.
- Nigdy się nie boisz?
- Czyż nie jesteśmy po to, żeby nas się bano?
- Ojciec czcigodny – powiedział półgłosem kapitan domowników Wielkiego Inkwizytora, don Carlos de Sigura – jesteśmy na miejscu.

Padre Torquemada podniósł powieki. Spośród domów ciasno otaczających plaza de San Pedro kolegiata wyrastała ku niebu ścianą tak ogromną, jak gdyby nie dłonie ludzkie ją wzniosły, lecz gwałtowny i nagle w powietrzu zastygły wybuch kamieni i rzeźbień utrwalił jej strzelisty kształt. Ludzie zgromadzeni przed kościołem wydawali się w jej cieniu nikli i zagubieni. Po obu stronach schodów stali z zapalonymi świecami bracia dominikanie. Ich ciemne płaszcze falowały na wietrze. Płomienie świec również się kołysały. Natomiast pośrodku schodów, w otoczeniu

urzędników Świętego Officium oraz świeckiego duchowieństwa, oczekiwali dostojnego gościa obaj inkwizytorzy arcybiskupstwa toledańskiego, kanonik kolegiaty doktor Alfonso de Torrez i dominikanin fray Gaspar Montijo. Tuż obok, z dłońmi wsuniętymi w rękawy habitu, stał przeor klasztoru San Domingo, padre Blasco de la Cuesta.

Akurat przestał bić dzwon kolegiaty, a ponieważ w ślad za nim i wszystkie pozostałe dzwony w mieście zaczęły milknąć – nagle stała się na placu cisza. Dwóch łuczników podbiegło do czcigodnego ojca, lecz Torquemada zatrzymał ich krótkim ruchem dłoni i zszedł z konia sam.

Zebrani pochyłili głowy.

– Bądź pozdrowiony, czcigodny ojcze i najdostojniejszy panie – powiedział kanonik de Torrez.

Spodziewano się, że Wielki Inkwizytor pobłogosławi zgromadzonych, lecz Torquemada nie uczynił tego.

– Pokój z wami, wielebni bracia – powiedział po chwili głosem stłumionym, trochę już w starczy sposób skrzypiącym. – Niech wszystkie łaski Pana naszego Jezusa Chrystusa spłyną na tych, którzy są ich godni.

– Amen – rzekł fray Gaspar Montijo.

Torquemada rozejrzał się po zebranych.

– Nie widzę wśród was, wielebni bracia, przedstawicieli władz świeckich. Czyżby nic nie wiedzieli o naszym przyjeździe?

Młody rycerz w lekkim mediolańskim pancerzu, połyskującym niebieskawym blaskiem, wysunął się spoza stłoczonego duchowieństwa.

– Witaj, dostojny ojcze – powiedział cokolwiek za głośno. – Mój dowódca, kapitan królewskiego regimentu